

straszył się, znalazłszy się wśród trumien i czmychnął. Co do mnie, to zmarła może nawet zmarłych wstać, ja się jej tam nie ulękę. Bylebym jeno miał medalion w swych rękach, to zmarła może robić, co jej się spodoba. Ja się tam nie boję bab-skich duchów. Miałem ja ci zrobić z Barrisonem nie bardzo bezpieczny interes na zamku Schleinitz, ale straciłem ochotę i czmychnąłem mu. Wogóle nie chcę wdawać się więcej z tym kłownem, bo brak mu zręczności i sprytu. Jest odważny i silny, ale nie umie niczego zręcznie przeprowadzić.

— Skłębym go, jak mi Bóg miły!

— Szkoda słów; jak tak dalej będzie postępował, jak dotychczas, to wcześniej czy później sam wpadnie w ręce policji.

Towarzysz Huhlego był to człowiek około sześćdziesięcioletni, wysoki i chudy; kościstą twarz jego zdobiła bujna broda, która od dawna już nie widziała nożyczek. Na orlim, ładnym nosie miał cwi-  
kier, z poza którego błyszczało dwoje chytrych, szarych oczu. Człowiek ten znany był w kołach zbrodniarzy pod przezwiskiem „prokurator“; przezwisko to było zresztą zupełnie uzasadnione.

Należał on do jednej z najbardziej poważanych i szanowanych rodzin we Frankfurcie. Ukończywszy uniwersytet i zdawszy doktorat praw wszedł do sądownictwa, gdzie dzięki swym wybitnym zdolnościom szedł coraz bardziej w górę. Mając trzydzieści lat został prokuratorem. Kilkanaście doskonale napisanych rozpraw z dziedziny prawa zjednało mu ogólne uznanie i szacunek. Tymczasem w kilkunastu sądach dokonano kilkakrotnie włamań i pokradziono mnóstwo rzeczy tak zręcznie, że nawet śladu sprawcy nie znaleziono. Nareszcie jednak udało się policji wpaść na trop zbrodniarza, który kradnąc, kilku ludzi, stojących mu na zawadzie, życia pozbawił. Po kilkumiesięcznym energicznym śledztwie zrobiono sensacyjne odkrycie, że złodziejem i mordercą nie mógł być nikt inny, jeno prokurator Ryszard Rehmer. Złapany na gorącym uczynku, „prokurator“ nie próbował nawet się bronić. Zrobiło to w całym mieście nadzwyczajną sensację.

Skazano go na dziesięć lat więzienia. Ale te dziesięć lat minęły, jakby z bicia trzaski i prokurator wypłynął znowu na wolność i stał się jednym z najniebezpieczniejszych rzezimieszków; obawiano się go z jednej strony, bo sam dokonywał najcięższych rzeczy, z drugiej zaś strony i dlatego, że wspierał innych zbrodniarzy swoimi radami z zakresu prawa, które znał doskonale. Zbrodniarze znali go wszyscy i mieli dlań zawsze należyty szacunek.

On to właśnie szedł teraz razem z Huhlem po cmentarzu i stanął wreszcie przed grobowcem Stürmerów. Mieli ze sobą wszystkie możliwe przyrządy, nawet ślepa latarkę, którą Rehmer teraz zapalił.

Na wstępie uderzyła ich obrzydliwa trupia woń, ale to ich nie zraziło. Wzrok ich padł zaraz na otwartą trumnę, w której leżał trup przepięknej kobiety.

Nieszczęśliwa Małgorzata Wilding odzyskała na razie przytomność, kiedy Barrison wdarł się był do grobowca, była jednak zbyt wyczerpana, aby się móżd podnieść. Opadła więc znowu i znów zapadła w letarg.

Brylantowy medalion błyszczał na jej piersi; Huhle zaraz wyciągnął rękę ku niemu.

— No, jesteśmy gotowi, możemy odejść — rzekł. — Ja to sprzedam, a tobie dam połowę.

— Tak, a co zrobimy z trupem? — zapytał prokurator.

— Także pytanie! A niechże sobie leży spokojnie w trumnie.

— Nie rozumiesz mnie — szepnął stary włamywacz do swego towarzysza. — Ten piękny trup może nam przynieść ładny zysk!

— Cóż ty chcesz zrobić? — spytał Huhle.

— Znam jednego malarza — odparł prokurator — nazywa się Aleksander Simerenko — maluje tylko same trupy.

— Ah! — krzyknął Huhle — więc tam ją mamy zanieść? Czy to tylko pewny interes?

— Najpewniejszy! On nas zasypie złotem. bo szczęśliwy jest, gdy może dostać trupa. Żebyśmy tylko mieli jaki worek, w którymbyśmy ją mogli zabrać.

— Ja go mam — rzekł Huhle tryumfując i wyciągnął worek z pod bluzki.

Wpakowali więc trupa do worka, położyli na nosze i wynieśli z cmentarza, idąc szybko ulicami, aż doszli do pewnego domu na oddalonem przedmieściu. Tam prokurator zadzwonił. Po chwili w oknie ukazała się męska jakaś twarz, o bujnych włosach.

— Któż tam jest? — zapytał stentorowym głosem.

— Otwórzcie, panie Simerenko, to ja! — rzekł prokurator. — Przynosimy wam coś, co wam się przydać może.

— Zaraz — odparł malarz, a siwe oczy jego zabłyśły dziwnym ogniem. Po chwili Simerenko ukazał się ze świecą w ręku w drzwiach i zaczął bystro patrzeć na przybyłych, poczem zaprosił ich do wnętrza, do swego atelier.

Było to ciekawe atelier. W fantastycznym nieporządku leżały tam trupy czaszki, piszczele i kości, najrozmaitsze obrazy i obrazki, przedstawiające trupów we wszelkich możliwych pozycjach — trupy tylko, nie żyjące stworzenia, uwieczniał ten dziwny malarz swym pędzlem. Najrozmaitsze naczynia, przedziwne broni gatunki, wszystko to zwalone było w nieporządku, ale z wyszukaniem artystycznym smakiem. W jednym rogu atelier stała pyszna otomanka, nakryta wspianiałym, wzorzystym perskim kobiercem.

— Trup — szepnął malarz — ach, rozczaruję się zapewne, tak samo, jak tyle razy już się roz-

Gorączkowo przyniósł skrzynkę z pastelami, rozciągnął papier na blejtramie i ustawił go na sztalugach. Przysunął sobie stołek, pokryty tkaniną i chciał zacząć.

— Oszaleję chyba, jeśli sława moja nie rozbrzmi niby grzmot po całym świecie i nie będzie brzmieć po wszystkie wieki! Muszę wszystkich mistrzów prześcignąć!

Wziął kredki do ręki.

— Zacznę. Może się uda uwiezić to przepiękne ciało na papierze.

Cisza śmiertelna panowała w atelier, cisza, przerywana jedynie skrobaniem kredki po chropowatym papierze, zresztą cisza bezgłośnie, granicząca z martwością.

Naraz malarz zerwał się z krzesła i skoczył na równe nogi. Byłby przysiągł, że w atelier słychać było jakiś głos, jakby jaką skargę bolesną.

— Na miłość Boską! Czyżby — umarła — ?

Rozśmiał się głośno i ciągnął dalej, jakby chcąc odpędzić narzucające się myśli.

— Głupiec jestem! Jakże to możliwe, żeby umarła mogła wzdychać! Z tego świata, w którym ta piękna kobieta raz się znalazła, już się nigdy nie powraca, ja chyba... Ale nagle umilkł znowu.

— Ha, cóż to jest?! Teraz — teraz — słyszałem — widzę dokładnie, jak różchyła wargi, słyszę jej głos!

— Pomocy! — Pomocy! — Duszę się! — rozlegał się dziwny głos po pracowni malarza.

Simerenko skoczył, jak oparzony i wściekłym wzrokiem wpatrzył się w swój model.

— Żyje! — krzyknął dzikim głosem. — Te łotry oszukały mnie, sprzedali mi kobietę zemdloną czy ogłuszoną — ale — ona nie powinna — nie może żyć dłużej! — choćbym ja sam miał być mordercą!

Strasliwa, przerażająca myśl malowała się w pięknej twarzy malarza. W tej chwili nikt nie byłby go poznał, tak się zmienił wyraz jego smętnego zazwyczaj, zadumanego oblicza. Jak skamieniały patrzył na piękną, bladą twarzyczkę, aż wreszcie krzyknął głucho.

Małgorzata Wilding powoli otworzyła oczy.

Malarz wpatrzył się w nią, jakby przykuty do miejsca. Takich oczu jeszcze nigdy w życiu nie widział. A Małgorzata błędnie rozglądała się naokół.

— Gdzie jestem? — pytała szeptem — ach a któż pan jesteś?! — dodała drżąc, spojrzawszy w twarz malarza, który ją, zdawało się, pożreć chciał swym wzrokiem.

W piersi malarza toczyła się tymczasem ciężka walka. Po chwili milczenia zerwał się nagle, jak pantera rzucił się ku przebudzonej z letargu, a w rękę jego błysnął sztylet.

— Ty żyjesz!? — syknął. — Ty, którą chciałem namalować, jako umarłą boginię?! Ha, ty żyć nie możesz!

Bolesny krzyk wydarł się z jej piersi, bo w tej chwili ujrzała nad sobą sztylet, ale malarz, jakby się ocknął nagle, odrzucił precz mordercze narzędzie i chwycił ją za gardło. Nieszczęśliwa wypadła mu z rąk i osunęła się znów na otomanę. Oczy jej się zamknęły, ciało zeszytniało znowu — piers przestała oddychać.

Malarz odskoczył — wpatrzył się w nią i chwycił się za czoło.

Czyżby mu się marzyło? Nie, niestety musiało być tak, boć biedaczka leżała już bez życia, nawet w tej samej pozycji, w jakiej ją ułożył.

(Ciąg dalszy nastąpi).



— — Małgorzata Wilding powoli otworzyła oczy. Malarz wpatrzył się w nią, jakby przykuty do miejsca. Takich oczu jeszcze nigdy w życiu nie widział.

czarowałem. Tęsknię za ideałem kobiecej piękności, ale jej zapewne nigdy nie znajdę.

— Nie gadajcie, panie Simerenko! — odparł stary zbrodniarz i z pomocą swego młodszego kolegi wyciągnął z worka martwe zwłoki.

Przez chwilę malarz stał jak skamieniały, patrząc na piękną umarłą.

— Ile za nią chcecie? — Mówcie prędko, ile? — A potem idźcie, idźcie precz!

— Zdaje mi się, że sto talarów nie będzie za dużo?!

Zamiast odpowiedzi malarz wyciągnął sakiewkę, napełnioną złotem.

— Tam są pieniądze — a teraz precz!

Odprowadził ich do sieni i zamknął za nimi starannie drzwi. Potem szybko powrócił do atelier i stanął przed otomanką, jak zahipnotyzowany. Drżącymi rękoma zaczął ściągać z umarłej wierzchnie szaty.

— Jaka wspianiała! — zawołał — wymaluję ją jako „umarłą boginię“, cały świat wprawie dziełem tym w zdumienie, sławą prześcignę naj-sławniejszych mistrzów. Oh, jakże mnie to pcha do malowania, jakże natchnienie wzrasta! Dzisiaj jeszcze, chociaż jeszcze noc, zaczynam robotę.